Zeszyt 15. Lwów dnia 30. Maja 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA	WYCHODZI	W. MANIECKI
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.	dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.	Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

POWIEŚĆ PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

TOM DRUGI.

I.

Między gmachem Ossolińskich a kościołem św. Mikołaja, na pochyłości pagórka, na którym stoją koszary, zakończone cytadelą od ulicy Kopernika, znajduje się we Lwowie cała sieć mniejszych uliczek i zaułków, których w tem miejscu nikt by się nie domyślił. Część ta jest tak od miasta oderwana, tak ukryta i dla siebie całość stanowiąca, że można dwadzieścia lat mieszkać we Lwowie a nie wiedzieć, gdzie jest n. p. ulica Słoneczna. Z tych, co w śródmieściu żyją, zaledwie przypadek wyrzuci czasem kogo w te strony nieznane. A jednak nie da się zaprzeczyć, że jest to najspokojniejsza część miasta, wolna od turkotu wozów i wrzawy ulicznej, przedewszystkiem wolna od żydów. Ztąd odsłania się piękny widok na miasto i górę Zamkową, piętrzącą się z kopcem Unji na szczycie, jak ów drogoskaz, który lud Izraela miał zaprowadzić do ziemi obiecanej.

Właśnie w tej części miasta i to w zakątku najmniej dostępnym, stał jeszcze przed kilku laty niewielki domek piętrowy, mający od uliczki, którą nikt nie chodził, kilkadziesiąt sążni ogrodu kwiatowego, w tyle zaś kilka drzew owocowych, rosnących na stoku góry, która się nad domem piętrzyła. Dziś na miejscu owego domku, stoi kamienica okazała, mieszcząca w sobie rodzin kilkanaście.

W epoce naszego opowiadania, a więc przed laty kilkunastu, właścicielem dworku z ogródkiem był pan Konstanty Czarkowski.

Pochodził on z Wołynia, gdzie miał duży majątek. Sprzedawszy ziemię, przyjechał dawno już do Lwowa, kupił kamieniczkę i w niej zamieszkał. Nie miał dzieci, bo nigdy nie był żonatym, nie miał przyjaciół, znajomych, nikogo. Cały dwór jego składał się ze starego Wojciecha, którego z sobą przywiózł, a towarzystwa dotrzymywały mu tylko książki i obrazy, któremi jego pokoje były zawalone. Ponieważ ściany nie wystarczały na pomieszczenie wszystkich płócien, więc nie mało obrazów poustawiał na ziemi, a nawet po rogach układał je w stosy jak w sklepie.

Do miasta rzadko wychodził. Najczęściej przesiadywał w swoim gabinecie, czytając książki greckie i łacińskie, których uczył się na pamięć. Ileż to razy biedny Wojciech, przyniósłszy mu lampę zapaloną, musiał całą godzinę stać i słuchać potoku poezji, niezrozumiałej dla jego ucha. Pan Czarkowski umiał na pamięć całego Homera, całego Wirgilego i z największą przyjemnością deklamował ich w oryginale. Zresztą była to jego jedyna rozrywka; gdyby nie ta manja, nie wiedziałby jak czas zabić. Po przeczytaniu jakiego klasyka i nauczeniu się znacznej części na pamięć, dziwak przypatrywał się potem swoim obrazom, między któremi znajdowały się płótna wartości niepospolitej. Był jeden Murillo, dwa Valasquezy, kilka Van-Dyck'ów, jeden wątpliwy Palma-Vecchio, jeden Tycjan prawdziwy, jeden Allori i przeszło sto obrazów większych i mniejszych, należących bądź do szkoły flamandzkiej, bądź włoskiej. Zamiłowanie do sztuki plastycznej stało jednak u niego na drugim planie; na pierwszym była zawsze poezja.

Sąsiedzi rozpowiadali sobie z początku niestworzone rzeczy o właścicielu pałacyku, tak bowiem kamieniczkę nazywano, później atoli plotki

ucichły, gdyż ich nic nie podsycało. Z wszystkiego jako prawda niezbita, jedynie to się utrzymało, że pan Czarkowski był starcem prawie zgrzybiałym, że był dziwakiem skończonym i człowiekiem bardzo bogatym a skąpym.

Już lat blisko dziesięć mieszkał ze swojemi książkami i obrazami, gdy pewnego poranku otrzymał z poczty list z czarną pieczęcią. Z niego dowiedział się, że w Płockiem umarła na suchoty jego siostra przyrodnia, znacznie od niego młodsza, która była za panem Rossowskim; mąż umarł był przed nią na dwa lata. Po nich został syn czternastoletni, Juljan, który donosząc wujowi o śmierci matki, przypominał się razem jego pamięci. Tknęło coś dziwaka w sercu wyschniętem jak pergamin, zbudziło się coś nakształt uczucia rodzinnego, i stary mól książkowy poznał, że mimo narowów nie przestał być człowiekiem. Prócz tego podobał mu się bardzo list chłopca, pełen szacunku i ciepła, które dziwak lubił, chociaż sam nie miał go w swej piersi.

Nie namyślając się długo, napisał do siostrzeńca i sprowadził go do Lwowa. Chłopiec przyjechał, padł starcowi do kolan i od tego czasu zamieszkał w jego domu.

P. Czarkowski mieszkał na pierwszem piętrze; na dole, tuż przy sieni, miał Juljan swój pokoik. Wojciech sam im usługiwał, robił kawę, wieczór herbatę, objad zaś nosił w blaszanych naczyniach z hotelu Europejskiego. Nieraz w zimie staremu dobrze ręce skrzepły, gdy objad dźwigał dla panów i siebie, lecz mimo to nigdy się nie skarżył. Do dziwaka był on całą duszą przywiązany, a teraz pokochał także młodego panicza, z którym jakby weselszy słońca promień do ich samotnego domku zawitał.

Juljan miał czoło jasne, szerokie i oko bystre, co o zdolnościach świadczyło. Wuj przypatrzywszy mu się uważnie, osądził, że chłopiec powinien zostać profesorem języków klasycznych, co według jego przekonania było szczytem wszelkiej doskonałości ziemskiej. On sam jeżeli w życiu czego kiedy żałował, to chyba tego, że jako gospodarz wiejski nie mógł z katedry deklamować Homera i Wirgilego. Powiedziawszy to sobie, wziął najlepszych nauczycieli, zaprzągł chłopca do książki i po roku do tego doprowadził, że Juljan złożył egzamin wstępny i został przyjęty do piątej klasy gimnazjalnej. Było to bardzo wiele, zwłaszcza przed rokiem 1860tym, wszystkie bowiem przedmioty wykładano podówczas w szkołach galicyjskich w języku niemieckim.

Aby łatwiej osiągnąć cel zamierzony, wuj po całych wieczorach trzymał Juljana przy sobie, wykładając mu zawiłości języków klasycznych i zapoznając go z pięknościami poezji starożytnej. Z początku chłopiec słuchał dosyć uważnie, powoli jednak suchość przedmiotu i monotonność wykładu tak zmęczyły jego żywą naturę, że gdy wuj mówił, on myślał o niebieskich migdałach i rad był niesłychanie, gdy się lekcja skończyła. To samo działo się w szkole. Wszystkie przedmioty pojmował i wszystkich uczył się pilnie, krom greki i łaciny. Te tak go zmęczyły, tak mu się uszami przelały, że gdy nauczyciel języka greckiego lub łacińskiego wchodził do klasy, Juljan prawie dostawał dreszczy nerwowej.

Wuj nie dostrzegł zmiany w swoim siostrzeńcu i święcie wierzył, że za życia doczeka się tej chwili, gdy ostatni członek jego rodziny zostanie profesorem języków klasycznych. Wprawdzie zdarzyło się kilka razy, że na zapytanie wuja, wykładającego grekę, jaki jest *auristus*, Juljan odpowiedział na oślep *primus*, chociaż właśnie był *secundus*, w łacinie zaś nieraz i nie dwa zamiast *gerundium*, powiedział *supinum*, lecz wujaszek kładł to na karb nieuwagi, a podsuwając mu gramatykę, mówił:

— Pantruj, pantruj jak sroka w kości!

Pan Czarkowski widział raz, jak sroka stojąc nad dużą kością, zaglądała ciekawie do jej wnętrza i to mu się tak podobało, że odtąd wziął ją sobie za godło nauki głębokiej. Słowo zaś „pantrować“, którego się na Rusi nauczył, znaczyło u niego tyle, co uczyć się i razem badać.

II.

Pomiędzy kolegami Juljana był jeden, którego studenci znieść nie mogli. Nazywał się Mateusz Czudek. Był on synem włościanina, z czem atoli taił się przed wszystkimi, i pochodził z obwodu Kołomyjskiego, po którym dawniejszemi czasy opryszków dosyć się wałęsało. Posyłany z początku do szkół przez dziedzica wioski, w której się urodził, lecz w latach już późniejszych, Mateusz był starszym o lat ośm od swoich kolegów, chociaż ani twarz ani wyglądanie tego nie okazywało. Budowę ciała miał drobną i trzymał się przy ziemi, od której i w przyszłości nie zbyt miał odróść. Lubo nie miał wielkich talentów, uczył się pilnie, prawie namiętnie, za co powszechnie „kowalem“ go nazywano; bo jak kowal bezustannem uderzaniem młota żelazo kuje, tak i on uczył się przedmiotu jedynie ciągle go powtarzając. Nazwisko jego w ustach młodzieży ulegało zmianom rozmaitym. Studenci nazywali go Cudak, Czubek, Czopek, Dudek i tym podobnie. Nie kończyło się jednak na przezwiskach. Każdy z kolegów poczytywał sobie za najświętszy obowiązek przynajmniej raz na dzień dobrze mu dokuczyć. Ten zlał przed nim ławkę atramentem, tamten szpilką ukłuł go w ramię, ów, gdy profesor Czudka pytał, bałamucił go rozmyślnie, błędnie mu podpowiadając, inni nareszcie zarzucali mu sznurek na szyję gdy do klasy wchodził lub bili chustkami splecionemi. Chłopak nigdy

się nie bronił, gdyż mimo wieku starszego był słabszym od każdego z kolegów, a wszystkich miał przeciw sobie. Zamiast stawać do walki nierównej, słodko się uśmiechał, co studentów do pasji doprowadzało. W tym uśmiechu Czudka, który był objawem gniewu bezsilnego, oni czuli coś, co ich mroziło i za to go nienawidzili. Studenci zwykli tylko tych nie lubieć ze swego grona, którzy bądź wyróżniają się ubiorem, bądź chełpią się majątkiem i stanowiskiem swoich rodziców, bądź nie wdają się z kolegami i z góry na nich patrzą, bądź nakoniec kłaniają się zbyt nisko nauczycielom, uwiadamiając ich o wszystkiem, co się w szkole dzieje. Tych ostatnich studenci nazywają „fagasami". Czudek nie miał nigdy na sobie porządniejszego ubrania, o rodzicach ani wspominał, z kolegami byłby żył najchętniej, gdyby go oni sami nie odtrącali, a co do „fagasowania" i tego nikt mu wprost nie zarzucił. Wprawdzie niektórzy przypuszczali, że tak być musiało, lecz nikt mu tego nie udowodnił, bo go na tem nikt nie złapał. Jakiż więc był powód tej niechęci ogólnej? Nie wiem... A małe dziecię czemu do jednego biegnie, chociaż go pierwszy raz widzi, i z zaufaniem na szyję mu się rzuca, od drugiego zaś z krzykiem ucieka? Młodzież postępuje jak dziecko: idzie za przeczuciem nie rozumując, i — powiedzmy to otwarcie — rzadko myli się w swoich sądach. Kogo szkolni potępią koledzy, ten najczęściej i w latach późniejszych na potępienie zasługuje.

Między sześćdziesięciu uczniami, jeden Juljan Rossowski nie potępiał Mateusza Czudka, owszem brał go nawet w obronę, ilekroć nadarzyła się sposobność. Nie mógł on wprawdzie powiedzieć, by dla Czudka miał sympatję; przeciwnie, ta postać układna i ten wzrok chytry robiły tak dobrze na nim, jak na innych wrażenie przykre; wszakże z drugiej strony, nie mógł znieść niesprawiedliwości, którą widział w znęcaniu się wszystkich nad jednym. Zdarzyło się kilka razy, że gdy chłopcy chcieli obić Czudka, on go własnemi zasłonił piersiami. Koledzy zbyt Juljana kochali, by mu to mogli wziąć za złe; za to nie raz mu mówili:

— Broń go, broń... Przekonasz się z czasem, jak ci się ten padalec wywdzięczy!

Juljan nie myślał o wdzięczności, bo go nie bronił dla nagrody. Z natury szlachetny i oburzający się na wszelaką niesprawiedliwość, postępował jak mu serce nakazywało, nie pytając, co z tego wyniknie. Juljan nie przestał na samej obronie. Widząc, że Czudek bardzo mizernie wygląda, co przypisywał brakowi dostatecznego pożywienia, pod pozorem, że radby z nim niektóre przedmioty powtarzać, zapraszał go co dzień wieczór na herbatę, którą pijał w swoim pokoju, i z pięciu guldenów, które otrzymywał miesięcznie od wuja na drobne wydatki, dawał mu zawsze większą połowę, to jest trzy, czasem nawet cztery guldeny. Czudek był mu bardzo wdzięcznym i dobrodziejem swoim nazywał.

Jednej zimy mrozy były nadzwyczajne; ludzie odmrażali sobie ręce i uszy, ptactwo nieżywe z dachów padało. Młodzież biedniejsza, niemająca cieplejszej odzieży, całkiem do szkoły chodzić przestała, oczekując powietrza łagodniejszego. Czudek miał tylko lekki surducik i jakąś chustkę do szala podobną, którą zasłaniał sobie szyję, nos i uszy na dwór wychodząc. Mimo tak skromnego ubrania jednej godziny nie opuścił. Przez ulicę biegł cwałem, ręce w kieszeniach trzymając, a gdy wpadł do klasy cały siny od zimna, koledzy więcej się nad nim nie znęcali. Na widok tak wielkiej nędzy, umilkła ich niechęć. Trwało to tydzień; nareszcie Czudek nie przyszedł do szkoły. Nikt o niego nie spytał, nikt go nie żałował, chociaż każdy się domyślał, że jedynie brak odzieży zatrzymał go w domu. Inaczej postąpił Juljan. Wyszedłszy ze szkoły, pobiegł natychmiast do Czudka, aby się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Znalazł go w izdebce małej, ciemnej, nieogrzanej, w której mieszkało czterech studentów. Czudek zziębnięty, wygłodzony, ledwie mógł się z łóżka podnieść, na którem leżał owinięty w surdut i kołdrę, a więc w cały swój majątek. Na ten widok Juljanowi zakręciły się łzy w oczach. Co miał pieniędzy zostawił koledze na stoliku, sam zaś cwałem pobiegł do domu, zkąd w pół godziny przyniósł cały jeden ubior zimowy i płaszcz szary, bandycki, który od wuja dostał na imieniny. Wojciech widząc, że panicz z takim pospiechem suknie z domu wynosi, pokręcił jeno głową, ale starszemu panu słowem o tem nie wspomniał. On wiedział, że to dla jakiegoś biedaka.

Czudek otrzymawszy pomoc, której się nie spodziewał, chwycił Juljana za rękę, by ją koniecznie pocałować. Juljan jednak wyrwał rękę zawstydzony i natychmiast z izby wybiegł, jakby się dopuścił występku.

Czudek wrócił do szkoły i dalej uczył się pilnie.

III.

Pan Czarkowski ani się spodziewał, jak wielkiego miał dożyć zawodu. Chociaż Juljan uczył się pilnie, z greki i łaciny ledwie z wielkim wysiłkiem promocję otrzymywał, gdy zaś usiadł do matury, z obydwu tych przedmiotów przepadł z kretesem. Wuj dowiedziawszy się o tem rozchorował się na piękne. Tyle nadziei i wszystkie zawiedzione! Jego siostrzeniec miał być znakomitością, tymczasem będzie niczem... Nie, to okropne! I nie tylko to jedno trapiło biednego starca... miłość własna odegrała także rolę niemałą. Wszak wszyscy profesorowie wiedzieli, że

wuj Juljana Rossowskiego, pan Konstanty Czarkowski, uważając się za lingwistę znakomitego, sam siostrzeńca uczył greki i łaciny. Jakież więc będą mieli teraz wyobrażenie o nim samym, o tym wielkim klasyku, który połowę życia strawił nad Homerem i Wirgilim! Zaiste, taki zawód mógł go nawet do grobu wtrącić!

Nie tyle może cierpiący, co rozdrażniony, biedny starzec dziesięć dni w łóżku przeleżał i przez cały ten czas nie pozwolił Juljanowi do siebie przychodzić. Miała to być kara za jego ciężkie przewinienia. Była nawet chwila, że chciał chłopca tam odesłać, zkąd przyjechał, wszakże zły ten zamiar prędko porzucił, bez Juljana bowiem już by żyć nie umiał. Człowiek starszy wiedząc, że w krótkiem życiu, które ma przed sobą, nie dozna wiele nowych wrażeń, trzyma się oburącz tych stosunków i ludzi, którzy go otaczają Każdy starzec jest konserwatystą; starzec gorący i pełen ulud jest tak samo zjawiskiem niezwykłem i nienaturalnem, jak dziecko chłodne i wszystko zimno obliczające. Chociaż więc Juljan boleśnie zawiódł oczekiwania wuja, ten nie chciał go wydalić ze swego domu, jakby się lękał, by po jego wyjeździe potem sam nie umarł. Im mniej miałby przy sobie z tych, którzy teraz z nim razem żyli, tem bardziej byłby się utwierdzał w przekonaniu, że już żyć nie będzie, bo nie ma dla kogo.

Jedenastego dnia rano pozwolił siostrzeńcowi przyjść do swego pokoju; wszakże ręki nie dał mu do pocałowania i surowem spojrzeniem przy łóżku go zatrzymał. Juljan stał zakłopotany, z oczyma w ziemię wlepionemi. obracaiąc kapelusz, który w rękach trzymał. Wuj przypatrywał mu się chwilę i głową potrząsał. Potem rzekł:

— Niech cię nie znam! Z ciebie nic nie będzie!

Młodzieniec otworzył usta jakby chciał się bronić.

— Cicho! — krzyknął starzec — cicho! ani słowa! Tu się obrona na nic nie zda! — a potem dodał: — Więc i ja doczekałem się mojego Brutusa!

Patetyczny ten frazes wywołał Juljanowi na usta lekki uśmiech; wujowi znowu się zdawało, że chłopiec chce mówić.

— Cicho! — zawołał ponownie. — Ani słowa! Jak mogłeś mnie tak zawieść, tak zdradzić! Niech cię nie znam! I czyś ty się nad tem zastanowił, co czynisz? Powiedz mi, czemuś się nie uczył?

— Proszę wuja...

— Cicho! — krzyknął wuj po raz trzeci. — Jak ja mówię, ani słowa! Jam się nad nim męczył, po nocach ślęczał, a on to sobie miał za baj bardzo. Mogłeś być człowiekiem szanowanym nie tylko w kraju, lecz także za granicą, mogłeś zostać sławnym w historji, a tak co z ciebie będzie? No mów, mów, co z ciebie będzie?

— Proszę wuja...

— Cicho! — przerwał dziwak ponownie. — Jak starsi mówią, młodsi słuchać powinni. Gdybyś mnie był słuchał, inaczej by dziś wszystko wyglądało. Oto byłbyś zdał maturę i miał świadectwo. Z takiem świadectwem mogłeś pójść na oddział filozoficzny i zostać człowiekiem.... A tak, niech cię nie znam! co z ciebie będzie? Nic, nic! Rodzice zostawili ci niespełna sześć tysięcy złotych, więc nie ma żyć z czego, jeżeli zatem nie obierzesz sobie jakiego zawodu, zginiesz! marnie zginiesz! Wprawdzie maturę mógłbyś jeszcze poprawić i zostać urzędnikiem, ale ja nie chcę doczekać, żeby ostatni członek mojej rodziny, Niemcom się wysługiwał... Świątynia zaś wiedzy i sławy na wieki dla ciebie zamknięta. Niech cię nie znam! Mój Boże i on przepadł z łaciny i greki!

Ostatnie słowa wymówił z żalem głębokim i twarz sobie rękami zasłonił. Juljan osądził, że najlepiej będzie jeżeli teraz wyniesie się cichutko i wróci dopiero w chwilę stosowniejszą. Dobrze zrobił. Staruszek wylawszy pierwszą żółć, którą miał serce przepełnione, uspokoił się znacznie i nazajutrz całkiem już inaczej przyjął Juljana. Nawet mu zrobił wymówkę, że go nie odwidził wieczorem dnia poprzedniego. Chłopiec był cichy, potulny i ani jednem słowem nie uniewinniał swego postępowania. Wujowi się to podobało, to też powoli całkiem o wymówkach zapomniał. Juljan wtedy osądził, że trzeba ostatecznie wuja zwyciężyć.

— Drogi wuju — przemówił do niego — chociaż nie mam ani szkół ani majątku, sądzę, że głowę mam nie od proporcji na karku i powinienbym sobie dać radę.

— Bardzo pięknie... ale w jaki sposób?

— Oto przyszła mi myśl następująca: patrząc na te śliczne obrazy wuja dobrodzieja, powiedziałem sobie, że jeżeliby się kto zajął skupywaniem starych obrazów, które jak to kochany wuj opowiadał, nie tylko za granicą lecz czasem i u nas bardzo tanio można nabywać, to powoli takie przedsiębiorstwo mogłoby przynosić piękne dochody. Nie tylko we Lwowie i w Galicji, lecz o ile wiem, w całej Polsce nie ma nikogo, ktoby się tą gałęzią handlu zajmował.

— Mój kuzyn... Rossowski... kupcem... niech cię nie znam! — odparł staruszek i ręką machnął pogardliwie.

— A któż wujowi powiedział, że jabym był kupcem? Jeżeli księgarza, dla tego tylko, że ma z książkami do czynienia, nikt kupcem nie nazywa, mimo, że dzień cały za ladą stoi, to któżby śmiał nazywać kupcem mnie, jeślibym się zajmował dziełami sztuki? Przecie jabym był wtedy prawie artystą.

— Może i masz słuszność Julku... chociaż na obrazach trzeba się znać... o! i bardzo!

— Wiem, ale któż pod słońcem zna się na nich lepiej niż wuj kochany? Wuj by mi pomagał, uczył...

— Tak jak greki i łaciny! Niech cię nie znam!

— Nie, nie wujaszku! Wuj by mnie uczył historji sztuki i jak obrazy poznawać, a tak powoli ostrzelałbym się z tym przedmiotem i później działałbym już na własną rękę. Niech wujaszek o tem pomyśli. Nie mogłem zostać klasykiem, niech więc będę artystą.

Pan Czarkowski zadumał się głęboko. Podobało mu się, że chłopiec zastanawiał się nad swoją przyszłością i zaczynał myśleć o sobie. Pochwalał również tę energję, z jaką chciał się wziąć do dzieła, jak nie mniej ufność w powodzenie. Przypomniał sobie także, że mieszkając na Wołyniu, skupował u sąsiadów pszenicę, którą potem do Odessy wysyłał, a chociaż dobrze na tem zarabiał, nikt go kupcem nie nazywał. Ze wszystkiego atoli najbardziej to mu pochlebiało, że był ktoś, co go uważał za wielkiego znawcę sztuki. Aby więc to przekonanie jeszcze bardziej w nim utwierdzić, postanowił nie tylko go uczyć historji malarstwa i tajemnic sztuki, lecz pomagać mu zawsze radą, gdyby okazała się potrzeba, nawet pieniądzmi. Greka i łacina haniebnie go zawiodły, oby go przynajmniej sztuka nie zawiodła.

Od tego dnia wuj i siostrzeniec codzień rozmawiali o nowym projekcie. (C. d. n).

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

IX.

(C. d.) W pokoju majora wyglądali wszyscy jakoś poważnie. On sam chodził w szerz i wzdłuż, z miną nader poważną, a nawet ponurą, ręce w tył założywszy; adjutant z jednym z młodszych oficerów, stali dotąd pod oknem, gdzie wprzód przy stole siedzieli. Wszyscy oficerowie, nie wyłączając doktora Buthot pospieszyli na wezwanie majora, grupując się rozmaicie. Ostatni wszedł Ludwik.

Zgromadzenie wyglądało na zupełną radę wojenną.

— Wezwałem was panowie — zaczął wreszcie mówić major — gdyż odebrałem wieści bardzo niepokojące. Miasteczko D*, przez które nie tak dawno przechodziliśmy bezpiecznie, jest istotnie w ręku Prusaków; Amerykanie mieli słuszność zupełną, gdy utrzymywali, że tam nie mają po co wracać. Nie dość na tem! Podsuwają się już Prusacy pod same góry. Patrole pruskie puszczają się nawet w głąb tychże, by zbadać o ile droga będzie przystępną dla kawalerji, a szczególniej dla artylerji. Jeden z takich patrolów, złapał wczoraj wieczorem naszego poczciwego pastuszka ze wsi N*, który nam zawsze owoce na sprzedaż przynosi. Widać tak mądrze wzięli się do dziecka, przerażonego ich nagłem pojawieniem, że im wiele o nas musiało wyśpiewać. Ojciec pastuszka Michała, wysłał do nas starszego syna z przestrogą, żeby mieć się na baczności, bo Prusacy, mając nas za garstkę nic nie znaczącą, za bosych niedołęgów bez broni! — tu major uśmiechnął się gorzko i dumnie — myślą napaść na nas w nocy, także w niewielkiej liczbie. To najmniejsza! — major znowu pogardliwie wydął usta — spodziewam się, że im damy radę, skoro jesteśmy przestrzeżeni; gorzej, że kapitan Giraudeaux, którego jutro na pewno oczekiwaliśmy, gotów puścić się ze swoim oddziałem drogą, po pod miasteczko D*; ja sam przedwczoraj jeszcze, byłem przekonany najmocniej, że miasto jest dotąd wolne, była to omyłka fatalna! która może przyprawić o zgubę niechybną, cały oddział tych dzielnych ludzi. Ścieżką przez góry, byłby jeszcze czas ich przestrzedz, lecz w nocy, któż trafi? któż zechce narażać się na możliwe zetknięcie się z pruskiemi patrolami? Któż z nas zna zresztą tak dokładnie góry, by trafić w tym labiryncie ścieżek wijących się na wszystkie strony, to nagle ginących wśród skał rozpadlin, to znowu wdzierających się na sam ich grzbiet stromy i gładki? Burgrabia zamku zna je dokładnie i syn jego Maurycy znał je także! Szlachetny młodzian padł u nóg moich, w ostatniej potyczce... Ojciec od tej straty prawie dogorywa, biedny, opuszczony starzec! Gdyby nawet był zdrowszym, jego drżące nogi nie zaniosłyby go tak daleko w tak krótkiem czasie! Przez góry mógłby oddział przeprawić się najbezpieczniej, a złączeni pomyślelibyśmy o ratunku i ukryciu gdzie indziej. Sprzeda on drogo życie swoje i swoich zuchów, to pewna! lecz to także niezawodne, że Prusacy są w tak przeważnej sile, że jeden z nich nie ujdzie cało. Ta myśl do rozpaczy mię przyprowadza!

Co do napadu na nas, nie potrzebuję wam mówić, że poczciwi mieszkańcy ze wsi N* nie byliby pewno, za żadną cenę, zdradzili naszego schronienia i ścieżki przez góry, lecz Prusacy grożą im spaleniem i zniszczeniem wsi całej. Pod taką grozą, będą zmuszeni drogę im pokazać, no! a my ich tu przyjmiemy po naszemu! nieprawdaż panowie? O to mnie głowa nie boli!... lecz mój druh serdeczny, kapitan Giraudeaux, ten mi kamieniem leży na sercu!

Major spuścił głowę na piersi, i zadumał się głęboko.

Najmłodszy z oficerów Vergnier, odstąpił od okna, i przemówił zcicha.

— Panie majorze! możeby można jeszcze pójść na pomoc z całym naszym oddziałem kapitanowi Giraudeaux; dni kilka wypoczywamy, siły nasze świeże, zamiast tu czekać na Prusaków, pójdźmy naprzeciw!

Major uśmiechnął się smętnie:

— Propozycja ta świadczy zaszczytnie o twojem męztwie mój młody przyjacielu; widziałem cię w ogniu i wiem, że nie jest ona czczą fanfaronadą, zapominasz

atoli że między nami znajdą się Prusacy z siłami tak przeważnemi, że zgniotą naraz oba nasze oddziały.

Wniosek Vergnier'a został silnie poparty przez cały korpus oficerów, którzy przypuścili szturm istotny do majora, żeby ich poprowadził na Prusaków. Major oparł się jednak stanowczo ich prośbom.

— Tu, pogadamy z nimi jak należy! jeżeli nas napadną, lecz tego nie zrobię, żebym was na oczywistą zgubę prowadził! Dosyć krwi francuzkiej popłynęło! dość braci naszych jęczy w niewoli! Nie wolno mi życiem waszem szafować, wiedząc, że pożytku ani celu w tem nie ma. Gdyby tak można dać znać przez góry memu drogiemu Giraudeaux! jest doprawdy od czego oszaleć! Szkoda mi Maurycego, szkoda!

— Ja go zastąpię — odezwał się Servigny, który dotąd stał na boku milczący. — Znam ścieżkę najbliższą przez góry, za kilka godzin kapitan Giraudeaux będzie miał wiadomość i przewodnika.

Major patrzał na niego osłupiały

— Znasz tę drogę poruczniku Servigny, jakim cudem?

— Z tytułu marzyciela i poety — który panowie raczycie mi przyznawać — skoro miałem chwilę wolną, zwidzałem te piękne góry, zachwycając się rozmaitemi tychże widokami; a gdy ośm dni temu, robiłem rekonesans w kilku ludzi, podsuwając się aż pod same forpoczty pruskie, napadnięty przez nich w przeważnej liczbie, uciekałem z ludźmi w góry. Jeden z nich — też ranny leży — wskazał mi na skałę, która mnie wydawała się zupełnie jednostajną, i w tej chwili przepadł w jej szczelinie. Gęsiego za nim pospieszyliśmy, i tym sposobem uszliśmy szczęśliwie pogoni.

Ścieżka później, po wschodach, bądź naturalnie wodą wyżłobionych, bądź może kiedyś ręką ludzką wykutych, wspina się na sam szczyt skały, zkąd ma się widok najrozleglejszy, a między innemi ma się u stóp wieś naszą. Ścieżkę odnajdę z łatwością, chociaż wśród nocy; wracałem tam razy kilka temi dniami, nie mogąc dość istotnie nasycić się czarującym krajobrazem. Kapitan Giraudeaux będzie uwiadomiony, mogę zaręczyć to słowem mojem!

Ludwik opowiedział wszystko jasno i dokładnie. Głos jego był głuchy, jak dzwon pęknięty, lecz cała postać była posągowo spokojna. Nic nie zdradzało rozmowy, skończonej przed chwilą, chociaż podczas tejże los nieubłagany złamał szczęście jego całe i rzucił mu je zgruchotane pod nogi!

Teraz nie było czasu myśleć o sercu zranionem, o miłości nieszczęśliwej, o nadziei straconej na zawsze!... Znalazł znowu na swój ból lekarstwo heroiczne, najskuteczniejsze i najpewniejsze.

Major wraz z innymi, słuchał tych słów z uwagą najwyższą, czoło jego nie rozchmurzyło się dotąd.

Pokochał Servignego całą duszą! i bał się go narażać na tak wielkie niebezpieczenstwo.

— Więc jesteś pan pewny, że drogi nie zmylisz, a jeżeli napotkasz patrol pruski?

— Drogę znam doskonale, a co do patrolów... jest bardzo wątpliwem, żeby w nocy puszczali się w góry zupełnie im nieznane, a choćby — to łatwo mi będzie ukryć się przed nimi, znając tychże wszystkie tajemnice, i załomy najmniej spodziewane.

— Kogoż pan z ludzi wybierasz?

— Nikogo...

Wszyscy rzucili się z żywą protestacją, a doktór Buthot, porwał Ludwika za obie ręce wstrząsając nim z całej siły, jakby chciał go wrócić do przytomności, i krzycząc mu prawie nad uchem:

— Człowieku! Czyś ty oszalał?

— Zaraz wytłumaczę się panom. Jeden z naszych ludzi, który zna tę drogę, leży ciężko ranny. Drudzy na nic mi się nie przydadzą. Przypuśćmy, że ja bym zginął, żaden z nich i tak do celu nie trafi; droga ta nie da się opisać. Trzeba wziąć i to na uwagę, że łatwiej prześliznąć się jednemu, niżeli razem w kilku ludzi, którzy musieliby wpaść w oko nieprzyjacielowi, szczególniej w noc księżycową. Nic byśmy nie zyskali, a wiele stracić możemy, boć dzisiaj równie drogie jest życie każdego żołnierza.

— Nie może przecież porównać się z twojem życiem! — przerwał mu major gorąco — tyś naszą chlubą! naszą prawą ręką! Można szukać z pochodnią oficerów równie zdolnych, równie nieustraszonych! Wszak panowie nie weźmiecie za złe słów moich? Wiem, że wszyscy cenicie wysoko i kochacie Servignego jak brata. O! gdybym miał cię kim zastąpić?

— Nie masz jednakże majorze nikogo! Rzecz więc skończona... ja pójdę. Proszę o pismo do kapitana Giraudeaux.

Major patrzał z uwielbieniem na młodego człowieka. Poeta i marzyciel, jak go istotnie nazywali w żartach koledzy, imponował swemu przełożonemu, odwagą nieustraszoną, krwią zimną, z którą obliczał wszelkie możebne ewentualności, i takiem poświęceniem bez granic!

— Nie sztuka — myślał major w duszy — być zawsze pierwszym, gdy wszyscy na nas patrzą, gdy przynajmniej koledzy uniosą rannego z pola bitwy, lub mu oczy przymkną na wieki, ale iść tak samotnie, wśród nocy, przez góry i lasy! Wspinać się przy bladem świetle księżyca na strome skał urwiska! i oczekiwać co chwila na kule nieprzyjaciela, gdzieś z poza krzaka na nas czyhającego, na to trzeba lwiego serca!

Nie przeczuwał major, że to serce pękło przed chwilą, i w tym bolu śmiertelnym, czerpie odwagę szaloną, pogardę życia zupełną.

— Idź więc w imię Boże Ludwiku! — zawołał major, ze łzami w oczach porywając go w objęcia. — Śmierć nikogo z nas nie minie. Może i wrócisz szczęśliwie, ciebie nie imają się jakoś kule! a gdybyś nie wrócił — głos majora zadrżał — zginiesz nie mniej śmiercią bohatera! Ja ci to powiadam a znam się na tem trochę; i w sercach naszych pamięć o tobie wiecznie żyć będzie. Kiedyż wyjść myślisz?

— Nie prędzej jak za godzinę, gdy księżyc oświetli w całej pełni góry. Po ciemku trudno byłoby przez zarośla trafić do skały. Czasu mam dosyć przed sobą, byle mnie nic w drodze nie wstrzymało.

— No, moi panowie — major obrócił się do reszty

oficerów — wy też macie ciężkie zadanie tej nocy. Trzeba być na atak przygotowanym. Forpoczty podwoić, ludzi przed północą pobudzić, broń oglądnąć, czuwać nad wszystkiem. A teraz żegnam panów, mam jeszcze list wygotować dla porucznika Servigny.

Oficerowie wychodzili jeden po drugim, ściskając za ręce Ludwika, jeszcze serdeczniej niż zwyczajnie, z wyrazem nader smutnym. On zaś wszystkim życzył dobrej nocy, ze swobodą i jak zwykle ze spokojem niezachwianym.

Gdy już ostatni wychodzili, uczuł lekkie dotknięcie na ramieniu. Obrócił się szybko i spotkał się ze wzrokiem pełnym gorzkiej wymówki, doktora Buthot.

— Więc ci tak nic a nic na życiu nie zależy, Ludwiku? — spytał go tenże cicho i głosem stłumionym.

— Nic! — brzmiała odpowiedź krótko i ponuro.

Doktor westchnął.

— Jednak zobaczę cię jeszcze przed odejściem?

— Zapewne... ale teraz idź Alfredzie.

Z drugiem jeszcze cięższem westchnieniem, doktor wyszedł za innymi; Ludwik został w pokoju majora, wraz z jego adjutantem.

Najpóźniej w kwadrans wyszedł z tamtąd, dążąc do swego pomieszkania. Właśnie wszedł na dość długi i ciemny przedsionek, prowadzący do jego pokoju, gdy postać dotąd pod ścianą stojąca i zupełnie niewidzialna, wyszła z cieniu, który róg muru tworzył, drogę mu zastępując.

— Panie Servigny! Czekam już tu bardzo długo na ciebie.

Ludwik stanął, poznawszy Amerykanina.

— Co życzysz sobie panie Alison?

— Chciałbym prosić pana o chwilkę rozmowy.

Zapytany popatrzył na zegarek, miał jeszcze godzinę czasu.

— Służę panu! — rzekł spokojnie.

Łatwo domyślił się, co teraz nastąpi. Joanny przypuszczenie nie było płonnem. Więc musi spełnić kielich aż do dna! Ani jednej kropli goryczy los mu nie oszczędzi!

Alison nie mówiąc więcej ani jednego słowa, postąpił naprzód i otworzył drzwi po drugiej stronie kurytarza. Ludwik zawahał się na progu, była to ta sama sala, w której dopiero rozmawiał z Joanną. Nie uszło to uwadze Amerykanina.

— Tutaj nikt nam nie przeszkodzi. A może masz pan właśnie co przeciw „temu“ miejscu?

Nic nie odpowiadając, młody porucznik przestąpił szybko próg sali, Alison za nim poszedł. Sala była i teraz zupełnie pustą i bardzo niedostatecznie lampą u sufitu oświetloną. Płomienie wygasły na kominie, zostawiając po sobie purpurowe zgliszcze, od którego bił blask ponury, w jakim zwykli malarze piekło przedstawiać.

Znowu na tle tej łuny odbijały się dwie postacie, tylko nie tak jasno i dokładnie jak poprzednio, od jaskrawo żółtych płomieni. Po tej samej stronie kominka stał Servigny. O krzesło, na którem przed chwilą Joanna siedziała, opierał się Alison.

Rzecz dziwna! Serca obydwóch stojących naprzeciw siebie ludzi, pałały uczuciem namiętnem, wszystko inne pochłaniającem dla tej samej istoty. Obydwaj patrzyli na gruzy szczęścia swojego, nie mając żadnej nadziei. A jednak u każdego z nich objawiało się to uczucie zupełnie inaczej.

Blade oblicze Ludwika wyrażało spokój cichy, męczeński. Czuł on dobrze, że dopóki serce bić będzie, miłość ta w nim tkwić nie przestanie. Nie potrafi zapomnieć, ani przeboleć swej straty. Natury marzące, zamknięte w sobie, jak jego, raz w życiu kochają. Jednak potrafił zwyciężyć ból srogi, piersi rozrywający, z męską siłą i godnością. Oczy jego miały wyraz natchniony, a nie rozpaczliwy. Jeżeli liczył cokolwiek na ową kulę, która może zabłąkać się przypadkiem wśród gór i skał załomów, toć zawsze zginie „śmiercią bohatera“ jak go major zapewniał; zginie, poświęcając się dla dobra braci, a nie jak człowiek słaby, bez charakteru, który nie potrafi stoczyć walki z życiem i wyjść z niej zwycięzcą!

Inaczej wyglądał Alison. Rysy jego były wykrzywione, zmienione do niepoznania. Wyraz ich był dziki, szatański! Oczy płonęły ogniem namiętnym, a usta mimo woli wysiłku, drgały co chwila konwulsyjnie. Rachunek co do miljona, po który rękę wyciągnął młody kupiec, nie zawiódł go, ale ta chętka tak u kupca niezwykła, żeby obok milionów, pozwolić sobie jeszcze „zbytku miłości“ mściła się teraz na nim okrutnie. Majątek może zagarnąć, ale miłość przepadła na wieki! Zrozumiał to aż nadto dobrze i dla tego był w szale, który go robił ślepym i głuchym na wszystko. Wściekły, upojony żądzą namiętną, był gotów nie tylko miljony, ale honor i życie nieść jej w ofierze.

Ludwik czekał kilka minut, nim Alison potrafił o tyle zapanować nad sobą, żeby z piersi ściśniętych kurczowo głos mógł się wydobyć. Wreszcie odezwał się głucho, bez dźwięku:

— Chciałem prosić pana o niektóre objaśnienia. Myślę, że mi ich pan nie możesz odmówić? Rozmawiałeś w tej sali prawie godzinę z miss Forest?

Servigny zmierzył go wzrokiem surowym.

— Czyś pan był świadkiem naszej rozmowy?

— Byłem!

Servigny pozostał równie spokojnym.

— Więc i słyszeć ją pan musiałeś.

Gorzki sarkazm zaigrał na ustach Alisona.

— Rozmowa toczyła się po francusku, ukochanym językiem ojczystym! Nie mogłem zrozumieć dokładnie wszystkich waszych czułości. Słyszałem jednak nader słodko brzmiące imię Joanny w ustach pana, a imię Ludwika w jej ustach!

Servigny uśmiechnął się boleśnie; lecz stłumił boleść i gorycz w tej samej chwili.

— Miałeś mnie zadać pytanie, panie Alison, wracajmyż do niego.

— Tak! zostańmy przy niem. Więc kochasz pan miss Forest?

— Nie inaczej.

— I jesteś nawzajem kochany?

Ludwik zamilkł. Oczy Alisona patrzyły atoli na niego z nienawiścią tak wyzywającą, że uważałby za tchórzostwo nie dać mu odpowiedzi.

— Tak! — rzekł bez wahania.

Alison syknął jak wąż podrażniony.

— Mocno żałuję, że muszę przeszkodzić temu serdecznemu i zupełnemu porozumieniu się państwa obojga. Może raczyła miss Forest wspomnieć panu nawiasem, że ja mam do niej prawa trochę dawniejsze i nie jestem bynajmniej skłonnym, zrzec się tychże na korzyść innego.

— Wiem o tem.

— Więc pojmiesz pan, że będąc pewnym ręki miss Forest, jako jej przyszły małżonek, nie życzę sobie, aby jej miłość do innego należeć miała, a przynajmniej nie do... żyjącego!

Ludwik wyprostował się z dumą.

— Czy mam to wziąć za wyzwanie?

— Tak! Nie odchodź jednak panie Servigny. Nie żądam waszych francuskich ceregieli, świadków, sekundantów i tym podobnych przygotowań. Wyciągniemy węzełki lub rzucimy kości. Przegrywający da słowo honoru, że do dwudziestu czterech godzin żyć przestanie. Nie potrzeba tu nikogo trzeciego, rzecz całą my dwaj załatwimy.

— Ma to więc być pojedynek amerykański?

— Nieinaczej! W tym wypadku najstosowniejszy.

Ludwik patrzył z pogardą na przeciwnika, wreszcie odrzekł zimno:

— Daruj pan, ale ten rodzaj zadośćuczynienia nie zgadza się zupełnie z mojem wyobrażeniem o honorze. Jeżeli mamy koniecznie stać jeden naprzeciw drugiego, to nie inaczej, tylko „z francuskiemi ceregielami“, oko w oko, z bronią w ręku. Życia mego bronić potrafię, kości o nie rzucać nie będę.

Oczy Henryka zalśniły jadem i złością piekielną.

— Może to wygląda mniej poetycznie i rycersko, niżeli wasze pojedynki, jest jednak pewniejszem!

— Ale ja takiego pojedynku nie przyjmę! Zresztą zapominasz pan, że chwilowo, póki trwa wojna, życie do mnie nie należy. Jestem w służbie i nie wolno mi narażać życia dowolnie, żeby załatwiać sprawy prywatne, wywierać zemstę lub się na nią narażać. Nie mogę odbierać ojczyźnie jednego więcej obrońcy, gdy znajduje się w tak krytycznem położeniu. Jeżeli życie krajowi przyniosę w ofierze, to życzenia pańskie zostaną spełnione; gdybym wyszedł z wojny cało — skoro pokój będzie zawartym, będę każdej chwili gotów dać panu żądaną satysfakcję. Prędzej nie!

Henryk roześmiał się w głos z gryzącą ironią.

— Mistrzowsko pomyślane, panie Servigny! Po zawartym pokoju! Zapewne wtedy, gdy pan znowu wrócisz na stanowisko profesora w mieście L*. Tam rektor wraz z senatem, nawet cały uniwersytet wystąpi jak jeden mąż, zasłaniając pana puklerzem jego uczoności; wystawiając panu jak jesteś potrzebny i pożyteczny młodemu pokoleniu! Mnie ogłoszą średniowiecznym barbarzyńcą, który chce ręką świętokradzką godzić na życie jednej z gwiazd na horyzoncie francuskim! Znakomicie ułożone! Szkoda tylko, że ja nie jestem dość naiwnym, ażeby wpaść w tę łapkę.

Blada przed chwilą twarz Ludwika, stanęła w płomieniach, a ręka mimowoli po pałasz sięgała; pohamował się jednak i odrzucił Alisonowi z równą ironią:

— Wielu też bitwom, w których ja prawdopodobnie brałem udział z bronią w ręku, przypatrywałeś się ty, panie Alison, przez dobrą angielską lunetę, stojąc w miejscu bezpiecznem?

Sarkazm trafił do celu, rozdrażniając do wściekłości Amerykanina. Przeszył Servignego wzrokiem tygrysa, gdy ma się rzucić na swoją ofiarę.

— Kończmy! — zasyczał przez zaciśnięte zęby. — Dasz mi pan natychmiast żądaną satysfakcję, w jakiejkolwiek formie! Na każdą broń przystanę i świadków pańskich przyjmę, albo...

— Albo?

— Za dalsze skutki sam pan odpowiesz.

Ludwik skrzyżował ręce na piersi i rzekł znowu z zimnym spokojem:

— Tej nocy, pod żadnym warunkiem nie dało by to się uskutecznić, za chwilę idę w góry — oczy Henryka błysły dziko, przerażająco, całem ciałem naprzód się wygiął, jakby się bał utracić choćby jeden dźwięk ze słów następnych — w ogóle mogę tylko powtórzyć, co już raz powiedziałem, nasza sprawa może być załatwioną jedynie po wojnie skończonej; ani jednym dniem wcześniej. Jeżelibyś pan próbował zmusić mnie do pojedynku jakąkolwiek obelgą, pominę wszelkie względy i odwołam się do sądu moich przełożonych.

Ostatnia pogróżka była już niepotrzebną, gdyż Henryk uspokoił się nagle. Spokój ten dziwnie wyglądał! Uśmiechał się nawet, lecz na widok tego uśmiechu mniej odważny mógł był skostnieć z przestrachu.

— Więc stanowczo nie? Dobrze! Gdybyśmy jednak mieli kiedy spotkać się niespodzianie, raczysz sobie przypomnieć panie Servigny, żem ci ofiarował walkę uczciwą, szlachetną, a pan ją odrzuciłeś. Do zobaczenia!

Odszedł. Ludwik pozostał na miejscu, patrząc zadumany w otwór kominka. Przy rozmowie z Joanną, płomienie buchały z całą siłą. Blask ich złoty, promienisty, podobny był do uczuć serc obojga, gorących, namiętnych. Podczas rozprawy z Alisonem pozostał żar czerwony, rozpalony, rzucający jeszcze iskrami, niekiedy bijący łuną światła niemiłego, ponurego, jak piekła czeluście. Taką też była dusza Alisona, takie w niej dzikie wrzały namiętności. Teraz kończyło sie wszystko, ogień przygasał nie mając już nawet iskierki jaśniejszej w swojem łonie; węgle pokrywały się ciemną powłoką. Takiem będzie odtąd życie jego szare, bez promyka nadziei! Płomienie miłości czystej, świętej, ogarnęły go gwałtownie, śnił błogo, cudownie! a dziś cóż mu z całego szczęścia marzonego pozostało? Także tylko garść popiołu!

W tej chwili drzwi z łoskotem otworzono i wpadł do sali pan Atkins.

— Szukałem cię wszędzie, panie Servigny — przemówił zadyszany. — Jesteś pan sam? Czy był tu przed chwilą pan Alison?

— Opuścił mnie właśnie.

— Domyśliłem się tego — zamruczał Atkins. — Spotkałem go na wschodach. Co tu się stało? O czem mówiliście panowie?

Servigny rzekł, odchodząc:

— To panie Atkins jest sprawa obchodząca jedynie mnie i pana Alisona. Dobranoc panu.

Atkins zatrzymał Ludwika, a rysy jego zdradzały niepokój.

— Ty przynajmniej, panie Servigny, nie odmawiaj mi tłumaczenia. Alison nie dał mi żadnej odpowiedzi, lecz z twarzy jego wszystko wyczytałem. Przyszedłem powiedzieć panu, żebyś strzegł się z nim spotkania.

Ludwik wzruszył ramionami.

— Jeżeli pan pod tem rozumiesz, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, nie powiadasz mi nic nowego, pan Alison oświadczył mi przed chwilą najdobitniej, że jeden z nas musi padoł ziemski opuścić.

— Wyzwał pana?

— Nie inaczej!

— Cóż pan na to?

— Wytłumaczyłem mu, że obecnie bić się nie chcę i nie mogę, cała więc nasza sprawa musi czekać na ukończenie wojny.

Atkins potrząsł głową z coraz wzrastającym niepokojem.

— Nie znasz pan Alisona jeżeli myślisz, że ustąpi przed podobnemi względami. Nie jest on już zdolnym do zimnej rozwagi, bo by własnego życia w takim razie nie stawiał na kartę. Namiętność, która w nim wre, doszła do szaleństwa, a wtedy nie czeka się na zemstę miesiącami! Wzrok jego mocno mi się nie podobał, bałbym się, mówiąc szczerze, gdybyście panowie mieli przepędzić noc pod jednym dachem.

— Tak też nie będzie — odrzekł Ludwik spokojnie. — Ja przynajmniej tu nie zostanę, bo idę na całą noc w góry.

— Gdzie pan idzie? — krzyknął Atkins przerażony.

— W góry. Dokąd i po co jest służby tajemnicą.

— Myślisz pan że go chcę badać? — zawołał Atkins gwałtownie. — Naturalnie pójdziesz na czele patrolu liczniejszego.

— Idę sam jeden.

Atkins w tył się cofnął, mierząc go od stóp do głowy oczyma.

— Panie Servigny! jest to więcej jak nieostrożność z pańskiej strony, mówić o tem tak otwarcie — rzekł z cicha.

Na ustach Servignego przelotny uśmiech zawitał.

— Nie mówiłbym tego pierwszemu lepszemu, pana atoli znam nadto dobrze, żeby obawiać się zdrady z twojej strony. Zresztą obydwaj panowie, nie przeszlibyście przez nasze forpoczty, które dziś są nawet zdwojone, gdyż obawiamy się napadu tej nocy.

Atkins zadrżał.

— Czyś pan może i Alisonowi o tem wspominał?

— Tyle co panu, nic więcej.

Amerykanin utkwił wzrok w niego na poły drwiący, na poły litościwy.

— O! niesłychana łatwowierności i lekkomyślności francuska! — mruknął sam do siebie, potem przystąpił do młodego człowieka, a kładąc mu rękę na ramieniu, przemówił z wielkim naciskiem i powagą.

— Panie Servigny! posłuchaj pan rady człowieka, któremu bardzo ciężko przychodzi występować przeciw ziomkowi i przyjacielowi z takim zarzutem... idzie tu jednak o przeszkodzenie wielkiemu nieszczęściu! Nie idź pan w góry tej nocy; życie pańskie jest w niebezpieczeństwie, rozumiesz mnie! Twoje życie jedynie! Porucz pan tę misję innemu koledze.

— Nie mogę!

— To weź pan przynajmniej ludzi ze sobą!

— I tego nie mogę!

— No! to idź pan sobie na złamanie karku! — krzyknął Atkins rozgniewany. — Zrobiłem co do mnie należało, teraz będziesz sam odpowiadał za skutki, które mogą nastąpić.

Ludwik rzucił się zniecierpliwiony.

— Uspokój się pan! Przypuszczenia twoje, są bez najmniejszej podstawy. Jeszcze raz panu powtarzam, kto nie zna „h a s ł a“, dnia dzisiejszego w góry się nie dostanie. Wszystkie ujścia zamknięte podwójnym kordonem naszych posterunków.

Mimo tych zapewnień czoło Atkinsa nie rozjaśniło się bynajmniej.

— Nie wiesz pan jeszcze, jak daleko Henryk zajść może. Knuje on teraz coś strasznego, znam go dobrze! Jest to w gruncie natura dzika, nieugięta. Wychowanie i stosunki pozornie ją cokolwiek przyswoiły, powaga i zimna krew kupca okiełzała chucie młodzieńcze; lecz gdy raz naturę tej podobną, ogarnie szał namiętny, łamie ona wszelkie zapory, nie zna granic, ani względów żadnych. W usposobieniu, w jakiem znajduje się obecnie, Alison jest zdolnym do wszystkiego!

— Przecież nie do skrytobójstwa? — rzekł Ludwik spokojnie.

Mimo całej grozy chwili obecnej, dawny sarkazm i coś na kształt uśmiechu, przemknęło przez usta Atkinsa:

— Panowie Francuzi macie zanadto wyrafinowane i subtelne pojęcia o honorze. Nie zapominacie o formach eleganckich, salonowych, nawet wśród burz namiętności. Henryk jest Amerykaninem, nie trzeba o tem zapominać. U nas częstokroć, zemsta wywarta, nazywa się wymiarem sprawiedliwości. Zamknąłeś mu pan drogę do zemsty w sposób przez honor przyjęty, a on jest za nadto rozdrażnionym, żeby się troszczył o „w y p a d a“ i „n i e-w y p a d a“, lub bawił się w idealne poglądy na stosunki społeczne. Jeszcze raz powtarzam, strzeż go się panie Servigny! ja z jego strony za nic nie ręczę!

Ludwik zrobił znowu ruch przeczący.

— Ja mam jednak lepsze wyobrażenie o panu Alisonie. Może mnie na śmierć nienawidzić, jednak nie posądzam go, żeby był zdolnym zbrodnię popełnić. Powiedz mu pan zresztą — tu dziwnie smętny i jakby nieziemski uśmiech, osiadł na ustach Ludwika — że jego życzenie może będzie spełnione prędzej niż się

spodziewa. — Muszę już odejść panie Atkins; pozdrów odemnie miss Forest i — żegnaj mi.

Podał mu rękę, oddalając się szybko i dążąc do swego mieszkania.

Alisona spotkał wprawdzie na wschodach pan Atkins, a wyglądanie jego straszne i ponure wzbudziło na nowo podejrzenia i niepokój starego, jednakże Alison długo na górze nie zabawił, zeszedł podczas rozmowy Atkinsa z Servignym znowu do ogrodu, szukając stróża zamkowego. Wskazano mu jego izdebkę na dziedzińcu zamkowym, w oficynach.

Wszedłszy do nizkiej, lichej izdebki, zastał stróża łupającego trzaski smolne i suszącego je powoli zdala od płomienia, który wesoło w piecu trzaskał.

Stróż zamkowy był typem wieśniaka bretońskiego. Silny, barczysty, miał ruchy ciężkie i leniwe, a wyraz twarzy wcale nieinteligentny, zdradzał jednak pewną chytrość i chciwość niezmierną. Widząc gościa wchodzącego, zaledwo podniósł się cokolwiek z siedzenia, pytając czego żąda.

Alison zagadał o zimnym wieczorze i że zdałoby się u nich na górze zapalić na kominie, stróż odmruknął niechętnie, że to się zrobi. Nie bacząc na jego minę kwaśną i opryskliwą, gość przysunął sobie stołek drewniany z drugiej strony pieca a siadając na nim, zagaił w ten sposób rozmowę.

— Nie sprzykrzy wam się też Pierre, tak wiecznie drzewo łupać i palić niem?

— Ha! cóż robić, trzeba żyć z czego człowiek może.

— Ale wolelibyście mieć własny kawał gruntu z domem, ogrodem i porządną gospodynią?

— Ciężkie czasy panie! za całe życie człowiek tyle nie uciuła, trzeba by na to najmniej dziesięć tysięcy franków. Ani ja, ani moja Fancheta, tego nie zarobimy, to daremna!

— A gdybyś mógł tę sumę zarobić od razu, za jeden dzisiejszy wieczór — tu Alison przysunął się jeszcze bliżej do stróża, który niedowierzająco mierzył go oczyma.

— Powiadają — ciągnął gość dalej — że jeden tylko burgrabia zamku, który leży chory, znał drogę przez góry.

— E! to najmniejsza — mruknął stróż znowu — toć każdy z nas zna góry jak swoją dłoń, kto tu urodził się i wyrósł; dla czego by jeden burgrabia miał być taki mądry, ale o cóż panu właściwie idzie?

— Wiecie że nas przemocą tutaj zatrzymano. Co do mnie, interes wielkiej wagi powołuje mnie do miasteczka S* na drugiej stronie gór, muszę tam być przededniem, dopomóżcie mi, a dziesięć tysięcy wasze. To mówiąc, wyjął Alison sporą paczkę banknotów i obok stróża na ławce położył. Stróż dotknął się ręką pieniędzy, jakby chciał się przekonać, że to nie czcza ułuda, potem zmarszczył brwi groźnie, a odsuwając pieniądze rzekł głucho:

— Dziś spodziewają się napadu Prusaków, warty zdwojone, bez hasła nikt się w góry nie dostanie.

— Tego nie mówcie. Znajdzie się zawsze ścieżyna leśna, kręta, niedostrzeżona, którą możecie mi wskazać i która nie będzie obsadzoną.

— Nie kuś mnie pan daremnie, chcesz wskazać drogę Prusakom, nie mam na sprzedaż krwi moich braci.

— Ani mi to w głowie! Prusaków, tak jak wy nie cierpię. Jestem kupcem, Amerykaninem, dzień jutrzejszy miał mi przynieść krocie, jeżeli nie będę na miejscu, ubiegnie mię kto inny, dla tego chętnie ofiaruję wam tę sumę, a nawet podwoić ją gotów jestem, byle dostać się do miasteczka S* i ubić tam interes. (C. d. n.)

Z ŻYCIA STUDENTÓW.

(C. d.) Odsyłanie „ciupasem" polegało na tem, że skazanemu na tę podróż przymusową związywano ręce na plecach, do których przywiązywano sznur odpowiednio długi. Policjant lub wieśniak, odprowadzający szupaśnika, trzymał koniec tego sznura, aby w ten sposób zabezpieczyć się przeciw możliwej ucieczce skazańca.

W owej epoce każdy, kto bodaj o milę od swego miejsca pobytu znalazł się bez paszportu, mógł być w ten sposób odesłany do gminy, której był członkiem.

Biedny Icek wyruszył z głową zwieszoną, a gdy koło okna przechodził, spojrzał na pana Hilarego wzrokiem litości żebrzącym. Pan Hilary odpowiedział mu drwiącym uśmiechem. Ujrzawszy to Icek zatrząsł się cały i straszliwie, chociaż cicho, zaklął po żydowsku.

Wypadek chciał, że gdy nazajutrz wieczorem Icek prowadzony przez chłopa stanął u rogatki w Przemyślu, prawie ci wszyscy żydzi, którzy go wysłali, znajdowali się w tem miejscu na weselu u karczmarza. Spostrzegłszy komiczną postać Icka, który nie mając rąk wolnych nie mógł sobie ani pejsów, ani czapki, ani kabata poprawić, mimo całego współczucia dla nieszczęśliwego posłańca, nie mogli wstrzymać się od śmiechu i nie jeden zawołał pokazując nań palcem.

— Kik, kik Icek, wus ist dus?

V.

W miesiąc po zdarzeniu właśnie opowiedzianem, u Moszka za miastem, znajdowało się dwudziestu filozofów, którzy według zwyczaju gęś zajadali, popijając ją miodem. Było już po północy i kilku właśnie powstało, aby pożegnać towarzyszów, gdy do izby wbiegł jeden z kolegów i głosem urywanym zawołał:

— Wielkie, bardzo wielkie nieszczęście!

— Cóż takiego? — zapytali wszyscy zrywając się z ławek i stołków.

— Hilcia żydzi zabili... zamordowali!

— Hilcia?

— A tak Hilcia... i da Bóg jutra doczekać, musimy go pomścić.

Przerażeni studenci otoczyli kołem przybysza, a ten jak umiał, opowiedział smutną przygodę pana Hilarego.

Hilcio odesławszy Icka szupasem do Przemyśla, pisał dalej Berichty, ku wielkiemu zadowoleniu pana manda-

tarjusza, który w nim już widział przyszłego męża najstarszej swojej córki, i kto wie czy w krótkim czasie nie byłby sam został mandatarjuszem, gdyby nie arcysmutny wypadek, który na dość długo oderwał go od studjowania kodeksów i verordnungów. Kilka dni temu, p. Hilary wyjechał z N. do P., gdzie brat jego stryjeczny był proboszczem. Miejscowość ta leży o półtorej mili od Przemyśla, a karczmę i rogatkę utrzymywał tamże ojciec tego samego Icka, który zrobił tak niefortunną wycieczkę po złote runo. Ślepy przypadek zrządził, że gdy Hilcio stanął przed karczmą, aby myto opłacić, Icek, który tego dnia przyszedł ojca odwidzić, zobaczył go przez okno. Była właśnie niedziela i przed karczmą stało kilkudziesięciu wieśniaków. Icek przypomniawszy sobie krzywdę doznaną, w mgnieniu oka uknuł plan szatański. Podbiegł do najbliżej stojących dwóch urlopników i coś z nimi pogadał. Urlopnicy zachęceni przyrzeczoną nadgrodą, skoczyli czemprędzej do wózka pana Hilarego i bez powodu wszczęli sprzeczkę z woźnicą. Podczas gdy to się działo na drodze, Icek agitował z pozostałymi wieśniakami. Hilcio prosił z początku chłopów, aby się ustąpili i dali pokój jego woźnicy, lecz gdy to nie pomogło, wyciągnął z wózka cybuch, z którym nigdy się nie rozłączał, i najbliżej stojącego poczęstował dobrze po grzbiecie. Uderzony krzyknął wprawdzie z bolu i o kilka kroków w tył odskoczył, ale za to inni widząc to, rzucili się na wózek, a ściągnąwszy zeń pana aktuarjusza, niemiłosiernie go poturbowali. Najwaleczniejszym w tym ataku okazał się Icek. Kto wie, na czem by się była skończyła smutna awantura, gdyby los szczęśliwy nie sprowadził był proboszcza, który uśmierzywszy zapał chłopów i żydów, zabrał brata na swoją bryczkę i odwiózł go do domu. W godzinę po tym wypadku, konny posłaniec był już w Przemyślu po lekarza. Od niego to dowiedział się opowiadający o tem zdarzeniu niemiłem.

— Więc Hilcio nie zabity! — krzyknęli wszyscy radośnie, gdy opowiadający mówić przestał.

— Prawda, że nie zabity, ale dla nas wszystko to jedno, bo gdyby nie ksiądz, byliby go pewnie zabili.

— Ma rację! — zawołano zewsząd chórem — trzeba łotrów przykładnie ukarać! Niech wiedzą, co studenci znaczą!

— Ukarać! Z dymem ich puścić!

— Dobrze, dobrze — przemówił jeden ze starszych. — Coś trzeba koniecznie zrobić, ale ponieważ ani czas, ani miejsce po temu, więc jutro o ósmej wieczorem zbierzemy się na „Wygodzie". Tam zapadnie postanowienie. Tymczasem chodźmy spać, a jutro zejdziemy się wszyscy.

— Wszyscy! Śmierć żydom!

VI.

Nazajutrz o godzinie umówionej, dokoła „Wygody" roiło się jak w mrowisku, albowiem prócz filozofów i uczniów wyższych klas gimnazjalnych, pojawili się także studenciki ledwie dziesięcio i dwunastoletni, aby wspólnemi siłami przeprowadzić wielkie dzieło zemsty. Zapał między zgromadzonymi był niezmierny.

Prócz wielkiej izby szynkownej, „Wygoda" miała jeszcze mały pokoik gościnny, stale przez studentów wynajmowany, który służył za salę konferencyjną i arsenał. Ilekroć miała zapaść ważniejsza uchwała, w pokoiku owym radzili najstarsi filozofowie i dopiero potem zawiadamiali o wyniku zgromadzonych w izbie szynkownej. Tam leżały także olbrzymie laski i palestry, będące jedyną bronią walecznej młodzi przemyskiej. Dawniej klucz od tego sanctuarium nosił p. Hilary; teraz przechowywał go w swojej kieszeni p. Dyonizy.

Z powodu ciemności na dworze panujących, był to bowiem koniec listopada, nikt z jadących gościńcem nie byłby się domyślił, że „Wygoda" mieściła w sobie tego wieczora kilkuset studentów, którzy zachowywali się jak najspokojniej, aby niczyjej nie zwrócić uwagi.

Konferencja starszyzny trwała całą godzinę i następujące zapadły na niej uchwały:

1) Z pomiędzy studentów wybiera się stu najsilniejszych i najsłuszniejszych.

2) Trzej najroztropniejsi wyjdą naprzód na zwiady, aby żydów przytrzymać aż do nadejścia całej armji, albowiem łatwo by się zdarzyć mogło, że żydzi wietrząc pismo nosem, wynieśliby się wcześnie z karczmy.

3) Aby pan Kreishauptman nie mógł w niczem przeszkodzić, należy bądź co bądź sprowadzić jego syna, Maurycego i zmusić go do wzięcia udziału w wyprawie.

Po jednomyślnem przyjęciu tej uchwały, która przed resztą kolegów, biorących udział w konferencji, miała być zachowaną w największej tajemnicy, pan Dyonizy wszedł do izby szynkownej i oświadczył, że ci, którzy wybrani zostaną, powinni nazajutrz o godzinie szóstej rano zgromadzić się pod „Wygodą", inni zaś zostaną w mieście i pójdą do szkoły.

Po wybraniu stu najdzielniejszych, reszta ze spuszczonemi nosami, a malce nawet z płaczem, poszli do domu, ażeby nazajutrz zamiast maszerować na żydów, pocić się nad łaciną i niemieczczyzną. (D. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Dziennikarz paryzki (szkic biograficzny.) Zmarły przed parą tygodniami Hipolit *Villemessant*, gerant dziennika Figaro, był jedną z tych osobliwości, które przy sprzyjających okolicznościach drugiego cesarstwa we Francyi, powstały doraźnie i rozstały się bujnie. Bardzo charakterystyczny jest przebieg życia tego człowieka, goniącego za miljonami, które ciągle usuwały mu się z pod ręki.

W roku 1830 zakłada on w Blois handel wstążkami, potem w Tours sklep bławatny, nareszcie w Nantes jakiś dom komisowy; ale widocznie nie uśmiecha mu się ten przemysł kupiecki, gdyż w r. 1839 przybywa bez grosza do Paryża i obejmuje miejsce komisanta magazynów mód i sztucznych kwiatów.

Tutaj przed bujną fantazją młodego kupczyka nowe i nieznane roztwierają się horyzonty. Świat reklamy, mało uprawianej jeszcze podówczas we Francji, roztwiera przed nim swoje ramiona. Wykształcenie w tej gałęzi dziennikarstwa mniej potrzebne; wystarczy trochę zdolności pisarskiej, wiele sprytu i dowcipu w miarę.

Więc podczas kiedy żona jego zakładała handel mód przy ulicy Choiseul, Villemessant umieszczaniem reklam po dziennikach zbiwszy trochę grosza, zakłada na własną rękę dziennik *Syffidę* a w tymże samym czasie obejmuje całą część modno-

reklamową w *Presie* Girardina pod przybranem nazwiskiem Ludwiki de Saint Loup.

To były jego zaczątki.

Ale zawód dziennikarski otwiera się szeroko przed nim dopiero w r. 1848; wówczas to zakłada z kolei dzienniki: *Lampion*, *Bouche de Fer*, *Kronikę paryzką* i wreszcie wskrzesza tygodniowego *Figara* w codzienne pismo i nadaje mu mniej więcej tę samą formę, w jakiej dziś jeszcze wychodzi.

Był to początek dziennikarstwa plotkarskiego, skandalicznego i reklamowego, organ złotej młodzieży i kokotek paryzkich, dziennik, w którym odbijało się całe znikczemnienie społeczeństwa paryzkiego w epoce napoleońskiej, reklama posunięta do ideału, skandal doprowadzony do ostatnich granic.

Figaro bawił się czasem w opozycyę; zagrożony zakazem wydawnictwa przez napoleońskie ministerjum, potrafił się jednak wywikłać z biedy drukowaniem arcy-dowcipnego listu, adresowanego do następcy tronu.

Napływ niezwykły prenumeratorów i ogromne dochody, jakie osiągał z reklam i ogłoszeń, dozwoliły Villemessantowi przygarniać do siebie całą plejadę młodych a utalentowanych pisarzy francuzkich.

Prawdę powiedziawszy, niema może ani jednego nazwiska pomiędzy cieszącymi się dziś wziętością u publiczności fejletonistami, krytykami i powieściopisarzami, któreby nie przeszło przez szpalty *Figara*.

A pismo to szybko zużywało swoich współpracowników, Villemessant płacił dobrze, lecz wymagał też nie mało. Im więcej hałasu czynił pisarz, tem bardziej był dla niego pożądany. Pojedynki stawały na porządku dziennym. Złym był miesiąc, w którym obeszło się bez wyzwania, w lokalu redakcji istniała i istnieje jeszcze po dziś dzień szkoła fechmistrzowska. Do powinności współ-redaktora należało nietylko zręczne użycie słowa, ale i dzielne wywijanie szpadą. Oszkalować kogo a potem zranić lub zabić w pojedynku, stawiało się na porządku dziennym.

Przy takich żywiołach, powodzenie pisma rosło jak na drożdżach. Akcje żywo podniosły się w cenie, wybudowano gustowny pałacyk na pomieszczenie redakcji, a jeżeli się zdarzyło, że przy tej lub owej burdzie ulicznej rozjątrzona publiczność paryzka wybiła okna w pałacyku, wprawiono nowe szyby i rzeczy szły dawnym torem. A szły tak pomyślnie pod względem materjalnym, że akcje *Figara* notowały się i notują dziś na giełdzie na równi z najlepszemi papierami, a Villemessant mógł już w roku 1875 oczyścić się z potrójnego: wstążkowego i bławatnego bankructwa, które mu ciągle leżało na sercu.

Redaktor *Figara* osobiście rozwijał wrzekomo szeroko legitymistyczny sztandar, chociaż z systematu przez siebie przyjętego, nie wzbraniał współpracownikom afiszować różnorodnych wyznań politycznych. Pojawiały się więc tam artykuły bonapartystowskie, orleanistowskie, czasem nawet republikańskie. Wszystko było dobre, co na czasie robiło pieniądze. A pieniądze wyciskały się tam ze wszystkiego, za krótki artykuł usprawiedliwiający Izabellę hiszpańską z marforystycznych zarzutów, redakcja *Figara* wzięła podobno 10,000 franków.

Była to więc reklama tajna i otwarta, ale ciągła. Trudno w *Figarze* rozróżnić co płatne a co nie. Pesymiści twierdzą, że niema tam ani jednego wiersza, któryby w ten lub ów sposób dochodu swojego nie przyniósł. Może to i prawda, ale rzeczą jest niezawodną, że cesarstwo upadło, Chambord stracił nadzieję powrotu, Rzeczpospolita zapanowała na dobre we Francji, a *Figaro* rozrywane jest ciągle przez świat paryzki, liczba wybijanych egzemplarzy rośnie z każdym rokiem.

Villemessant, człowiek pozbawiony politycznego i społecznego sumienia, bezwzględny wielbiciel złotego cielca, nie przebierający w drogach, mających mu zapewnić zysk i wyniesienie się, posiadał jednak jeden arcyszanowny przymiot. Był on dobrym ojcem rodziny.

I głównie z tego powodu występował on stanowczo przeciw wszelkim pochopom socjalnym, wypowiadając im wojnę na śmierć i życie. Podczas komuny był on nawet w wielkiem niebezpieczeństwie, nie cofnął się jednak ze stanowiska. Współpracownik jego mógł być czem zechciał, byle nie socjalistą i to był główny powód pierwszego poróżnienia się jego z Rochefortem, który był w swoim czasie najsilniejszą podporą *Figara*.

W towarzystwie Villemessant był przyjemnym, dowcipnym nawet. Umiał dobrze opowiadać. Genjalny organizator zabaw, obfitował pod tym względem w nowe i ponętne pomysły.

W poufnem kółku nie taił się z przekonaniami swojemi i z pogardliwem mniemaniem, jakie miał o ludziach i epoce w której żyć mu przyszło.

Klub ekscentryczek. Artystki trzech teatrów paryzkich zawiązały nowe stowarzyszenie, a raczej utworzyły nowy klub kobiecy, który obok Blanqui'ego zajmuje dzisiaj najbardziej opinję publiczną w Paryżu.

Przed kilkoma laty istniał już w stolicy Francji oryginalny związek blondynek, który się zbierał w słynnej traktyjerni Vefour'a.

Tylko jasnowłose piękności mogły do niego należeć, członkinie nadzwyczajne musiały przywdziać blond perukę, albo farbować sobie włosy.

Nowy klub, zawiązany przez artystki z Gymnase, Vaudeville i Palais Royale, ma na celu... zjadanie dwanaście smacznych obiadków w roku, podczas których artykuł 4ty ustawy wymaga, aby biesiadniczki mówiły o mężczyznach jak najgorzej.

Wszystko, co tylko jest męzkiego rodzaju, musi być przedrwiwane; panów stworzenia nazywać wolno tylko po imieniu i mówić o ich złych stronach, bo to najłatwiej utrzymać może wymianę zdań.

Wyjątek stanowią dyrektorowie teatrów, którzy — według brzmienia artykułu 5go — „jeżeli są jeszcze niekiedy mężczyznami, to przecież zawsze do aniołów należą.“

Którakolwiek z członkiń chciałaby o swoim dyrektorze źle się wyrazić, musi wpierw na trzy dni przed uroczystym obiadem uwiadomić o tem komitet; skargi mogą być wnoszone wszelako przyciszonym głosem.

Statuta nie pozwalają podczas zebrań mówić o polityce, ani o żadnych rzeczach „z budą“, t. j. z teatrem związek mających, a najmniej już o sprawkach i tajemnicach zakulisowych.

Ciekawa rzecz, o czem właściwie te panie rozmawiać będą? I powiedzieć tu, że paryżanki nie są pomysłowe w zabawie!...

Przed ślubem. Ojciec rozmawia z synem o narzeczonej jego, mającej pół miljona posagu.

— Ależ ojcze, ona kulawa...

— Cóż ztąd? przecież nie chcesz jej zrobić posłańcem publicznym, ani nauczycielką tańcu.

— Tak, lecz ona zezuje?...

— Tem lepiej, mój kochany, twoje awanturki będzie widziała tylko w połowie!

— Prócz tego jeszcze niedosłyszy...

— Wybornie, nie będzie cię podsłuchiwała.

— Ależ, proszę ojca, ona ma sążnisty garb...

— A cóżeś ty myślał! czy chcesz, żeby twoja narzeczona miała tylko same *zalety*, a ani jednej *wady*... w takim razie musiałaby chyba być aniołem.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.